



BARBARA KOSMOWSKA

# DZIEWCZYNNKA Z PARKU

Ilustracje: Emilia Dziubak

*Barbara Kosmowska*

# DZIEWCZYŃKA Z PARKU

Ilustracje: Emilia Dziubak



Copyright © by Barbara Kosmowska, 2012  
Copyright © by Wydawnictwo W.A.B., 2012  
Wydanie I  
Warszawa 2012

## Spis treści

[Rozdział 1: Druga strona ulicy](#)

[Rozdział 2: Słowa odlatują jak ptaki](#)

[Rozdział 3: Sekret](#)

[Rozdział 4: Miętowe pastylki na samotność](#)

[Rozdział 5: Cukier puder na księżycu](#)

[Rozdział 6: Przegapiony koniec świata](#)

[Rozdział 7: Dwie górki i wspólny pies](#)

[Rozdział 8: Kiedy nie ma chłopca w żółtej bluzie](#)

[Rozdział 9: Dlaczego dzięcioł opuszcza dziupłę](#)

[Rozdział 10: Wołanie](#)

[Rozdział 11: Dzień, w którym powracają kolory](#)

[Chłopiec w żółtej bluzie](#)

[Biogram autorki](#)

# rozdział 1

*Druga strona ulicy*



– Czy to prawda, że twój tata umarł? – zapytał Jeremiasz, kiedy stała przy płocie i patrzyła na dwie kłócące się sikorki.

– Mhm – przytaknęła i mocniej naciągnęła czerwoną czapkę.

Był silny mróz.

Jeremiasz też mocniej wcisnął na uszy swoją czapkę i poprawił plecak.

Sikorki odleciały z piskiem. Rozsiadły się na pobliskim drzewie niczym na wielkiej białej kanapie.

– Jak chcesz, to pójde kawałek z tobą. – Jeremiasz mocno tarł czerwone z zimna ręce.

– Będą się z ciebie śmiać – podniosła na niego oczy.

– E tam – wzruszył ramionami, jakby mu nie zależało. – A jutro wybieram się na łyżwy. Masz łyżwy?

– Mam. Chyba są już za małe.

Szli dalej w milczeniu, aż do budki z prasą i słodyczami. Jak zawsze wiła się wokół niej kolorowa kolejka dzieci.

– Kupimy sobie po batonie? – Jeremiasz wysypał na dłoń drobne i skwapliwie je przeliczył.

– Nie.

– Ja też nie chcę – uznał po dłuższej chwili.

Ruszyli w stronę gwarnego skrzyżowania.

– Jak będę duży, to sprawię sobie taki wóz.

Wzrok Jeremiasza zatrzymał się na smukłej linii sportowego auta. Przemknęło z rykiem silnika, zostawiając smugę białego dymu.

– Lubisz samochody?

Pokręciła przecząco głową.

Tata lubił – pomyślała. – Jego ukochane auto stoi teraz w garażu i czeka na nabywcę. Mama mówi, że zostało za dużo wspomnień. I nie da się ich ani odkurzyć, ani wytrześć.

*Po śmierci taty mama bez przerwy robiła porządki. Miała zaciśnięte usta, gdy kręciła się po domu w poszukiwaniu niepotrzebnych rzeczy. Chciała je za wszelką cenę wyłować z szuflad i szaf. Czasami udawało jej się zapełnić foliowy worek*

*jakimiś zdobyczami. Wydawała się wtedy zadowolona i spokojna. Ale gdy trafiła na przedmiot, który bronił się przed wyrzuceniem, działało się z nią coś złego. Trzymała go długo w dłoniach i była taka bezradna. Jakby zapomniała, że już jest dorosła.*

Andzia pomyślała, że dorośli powinni wiedzieć, co można zatrzymać na dłużej, a z czym trzeba się rozstać.

Od czasu gdy zostały same, mama często zapominała, że jest dorosła. Na przykład zdarzyło jej się parę razy zasnąć w porze kolacji. Dopiero gdy Andzia spaliła niechący czajnik i całą kuchnię spowiła ciemna mgła kopcącego dymu, mama przybiegła do kuchni, żeby otworzyć okna na oścież.



I często leżała w sypialni pod kocem w kratę. Nawet po południu.

Tata leżał tylko wtedy, kiedy chorował. A wcześniej nie mógł usiedzieć w domu. Brał Andzię, pakował do futerału wysłużoną lornetkę, a do plecaka atlas ssaków. I ruszali na wycieczkę. Wystarczyło przejść na drugą stronę ulicy, do parku, aby znaleźć się w innym świecie.

Mama nie lubiła tych wypraw. Jej wysokie obcasy zawsze zapadały się w grząskiej trawie i na podmokłych, wydeptanych ścieżkach. W dodatku nie miała orientacji i bała się zboczyć z głównej dróżki.

Andzia знаła park na pamięć. Można w nim było karmić dzikie kaczki, które upodobały sobie zarośnięty staw. Albo zjeżdżać na sankach z niewysokiej góry prosto pod nogi poety, który stał na pomniku i patrzył w niebo.

A wiosną do parku przylatywały ptaki. Miały na drzewach swoje budki i dziuple, do których pracowicie znosiły różne skarby. Żdźbła traw, wiórki kory, a czasami nawet spore patyczki. Wówczas siadała na ławce i przyglądała się tym ptasim wędrówkom i staraniom. Albo liczyła wiewiórki, bawiące się w chowanego. Rude zalotnice.

– Idziesz już do domu? – zapytał Jeremiasz, gdy zza zakrętu wyłonił się niewielki budynek z okazałym tarasem.

Andzia przystanęła i spojrzała w stronę przydomowego ogrodu, ukrytego pod śniegową czapą.

– Chyba jeszcze nie. Mam śniadanie dla kaczek. Jak chcesz, możemy je razem nakarmić.

– Kaczki? – Jeremiasz spojrzał na rozległy park, próbujący skryć się za drzewami. – Jasne, że możemy – powiedział, odprowadzając wzrokiem kolejny sportowy samochód, zbyt szybko mknący po ruchliwej ulicy.



## rozdział 2

### *Słowa odlatują jak ptaki*



Mama nie zapytała, dlaczego Andzia tak późno wróciła ze szkoły. Pewnie nie wiedziała, że jest późno, bo znowu leżała pod kocem w kratę. Wstała dopiero wtedy, kiedy na dole zaskrzypiały drzwi.

– Jesteś głodna? – zapytała, stawiając na gazie mały garnek z zupą.

To nie było pytanie do Andzi, tylko do zasłonki w maki. I do garnka, a także do bazylii, która zieleniła się na kuchennym parapecie.

Andzia nie lubi odpowiadać na takie pytania.

– Co w szkole?

Tym razem wzrok mamy zatrzymał się na niej. Jej oczy były lekko zaczerwienione i spuchnięte.

– Dobrze – odrzekła Andzia.

Nigdy nie wiedziała, co należy odpowiedzieć.

Od czasu jak zostały same, wszystko się zmieniło. Słowo „dobrze” też się zmieniło. Nie oznaczało już tego, co dawniej. Było trochę jak przeciwbólowa tabletką, a trochę jak czekoladka.

Mama zawsze lubiła czekoladki.

– Dostałaś jakąś ocenę? – Przed Andzią stanął talerz zupy.

– Czwórkę z polskiego – odpowiedziała, zanim zaczęła jeść.

Ostatnio często myślała o tym, że tata, gdy umierał, musiał zabrać ze sobą większość słów. Kiedyś tak łatwo rozmawiało się o różnych sprawach. A teraz mama wciąż milczy i szuka potrzebnego wyrazu.

Coś równie złego stało się z ich wspólnym śmiechem. Też umarł razem z tatą.

– Jak chcesz, zagramy w chińczyka.

Mama spojrzała na Andzię z małym przestraczem, że zechce grać.

– Może innym razem – odpowiedziała poważnie. – Muszę odrobić lekcje na jutro.

– Jutro jest sobota.

– To na poniedziałek – odparła Andzia. A mama, choć tylko pokiwała głową, natychmiast się uspokoiła, jakby właśnie pozbyła się jakiegoś kłopotu.



W pokoju Andzi był porządek. Porządek miał cieszyć mamę, ale nie cieszył. Martwił i ją, i Andzię, bo kiedy wszystko leży równo na swoim miejscu, to bardziej się sprząta w swoim pokoju, niż się w nim mieszka.

Po pogrzebie taty babcia powiedziała, że trzeba cierpliwie poczekać, a wszystko wróci do normy. Andzia nie rozumiała zbyt dobrze, co to znaczy, więc sprawdziła w słowniku. Ta norma, na którą miały z mamą poczekać, była jakąś ustaloną, ogólnie przyjętą zasadą.

Widocznie babcia się pomyliła – pomyślała wtedy Andzia. – Ani jej, ani mamie nie była potrzebna żadna zasada, tylko tata. Nie musiałyby wstawać z łóżka czy chodzić do pracy. Przecież obie z mamą dobrze sobie radziły, gdy chorował.



Andzia patrzy na zdjęcie z tatą i ma do niego żal, że się do niej uśmiecha tylko ze ściany.

– Powinieneś tu być i zrobić coś takiego, żeby mama też zaczęła się uśmiechać – wyszeptała Andzia. A potem rozłożyła książki i usiadła do lekcji.

Późnym wieczorem zajrzała do niej mama.

– Czytasz książkę, Andziu? – zapytała, stojąc w progu.

– Tak. Wesołą. – Andzia szybko znalazła jakiś przypadkowy uśmiech.

– Jeśli chcesz, możemy spać razem.

Mama często przychodziła do Andzi z taką propozycją. A ona codziennie na nią czekała. Czasami udawała, że czyta, a czasami, że zasypia. Ale tak naprawdę zawsze nasłuchiwała kroków mamy.



Leżały na szerokim łóżku. Mama trzymała w rękach książkę, ale jej wzrok błędził po jasnych ścianach i z trudem wracał do powieściowych wydarzeń. Spojrzenie Andzi, choć też leżała z otwartą książką, najczęściej zatrzymywało się na twarzy mamy. Oczom Andzi zależało najbardziej na tym, aby mamę przeczytać jak opowiadanie, które dobrze się kończy. Nie było to jednak łatwe. Zwłaszcza od kilku tygodni.

– Kiedy już przestaniesz być smutna, mogłybyśmy pójść do parku – powiedziała cicho.

– Możemy się tam wybrać nawet jutro – odrzekła mama.

– To za szybko – Andzia pokręciła przecząco głową.

– Myślisz, że jestem smutna? – głos mamy niebezpiecznie zadrżał. – Bardzo się staram, żeby było... jak dawniej – dokończyła.

– Wiem – szepnęła Andzia i pocałowała mamę w policzek.

I znowu poczuła się dorosła. Jak mama swojej mamy. Zawsze miała takie odczucie, gdy robiła jedną z tych rzeczy, którymi wcześniej zajmowała się mama. A to poprawiała krzywo zawiązaną kokardkę przy jej kuchennym fartuszk, a to przynosiła nowe rajstopy, gdy dostrzegała oczko wędrujące po maminej nodze. A najczęściej czuła się bardzo dorosła, gdy sadzała mamę na krześle i starannie czesała jej niesforne włosy, zmierzwione i trochę zmęczone wiecznym leżeniem pod kocem.

– Muszę ci coś powiedzieć. Mam bardzo dzielną córeczkę. – Mama przeciągnęła Andzię na swoją połowę łóżka i kilkakrotnie ją pocałowała.

Andzia zamknęła oczy. Wszystko się zmieniło, ale mamy pocałunki nie. Pozostały takie same. Trzeba tylko było długo i cierpliwie na nie czekać.

## rozdział 3

*Sekret*



Jeremiasz zwolnił, kiedy wychodziła ze szkoły, a potem przystanął. I stał tak długo, aż Andzia znalazła się obok niego.

– Dzisiaj wziąłem specjalne śniadanie dla twoich kaczek – powiedział, lepiąc wielką śnieżną kulę. – A Zośki nie słuchaj. Ona się nie zna nawet na samochodach.

– Ja też nie za bardzo – zaczerwieniła się trochę.

– Ale ty umiesz rozmawiać z kaczkami. – Śnieżna kula wylądowała na pobliskim drzewie.

Szli przez chwilę w milczeniu.

– Jak będziesz chciał, to pokażę ci w parku wszystkie ptasie gniazda. I mieszkanie kreta.

– Skąd się na tym znasz? Na gniazdach i w ogóle? – Szalik Jeremiasza tańczył na wietrze.

– Mój tata był faunistą.

– Kim?

– Badaczem ptaków i ssaków.

– O rany! Leczył zwierzęta?

– Nie. Obserwował je i opisywał.

– Fajnie masz – westchnął Jeremiasz, ale nagle zamilkł i spojrzął z ukosa na Andzię.

– Nic nie szkodzi – odpowiedziała dzielnie i próbowała się uśmiechnąć. – Sama czasami zapominam. Że go nie ma.

– Mojego też często nie ma. – Jeremiasz miał czerwone od mrozu ręce. Próbował ulokować je w płtykach kieszeniach. – A kiedy wraca z pracy, to zawsze jest zmęczony.

– Ale wraca – szepnęła Andzia.

Jeremiasz pomyślał, że jest trochę podobna do małego głodnego ptaszka. Nie znał żadnej dziewczyny, która byłaby taka jak Andzia. Wszystkie dużo paplały i zbijały się w kącie klasy w kolorową grupkę. A potem szeptały, spoglądając na innych, żeby wreszcie wybuchnąć przykrym śmiechem. A już najbardziej nie lubił Zośki, głośnej jak wojskowa orkiestra i bardzo zarozumiałej.



Nad stawem bawiły się dzieci. Wodę skuł lód. Maluchy pod czujnym okiem rodziców stawiały na srebrnej tafli niepewne kroki.

Gdy Andzia sypała kaczkom okruchy chleba, podbiegały do niej na krzywych łapkach i wszczywały między sobą awantury. Kaczki – krzykliwe przekupki.

– One chyba cię znają. – Jeremiasz patrzył z zazdrością, jak ufnie maszerowały w stronę Andzi.

– Może. Nawet nie wiem, czy ja je znam, choć często tu przychodzę. Właściwie to przychodziłam. Z tatą. Mama też czasami dała się namówić. Ale teraz nie lubi spacerów.

Jeremiasz wypróbował podeszwy swych nowych butów na lodzie. Świetnie nadawały się do ślizgania. Gdy zdarzało mu się upaść, Andzia wybuchała szczerym śmiechem. Więc bez przerwy upadał.

A potem długo przyglądali się gniazdom. Andzia wiedziała, który ptak w nich mieszka, a który już na zawsze je opuścił.

Zadzierali wysoko głowy i śmiali się, gdy wiatr strącał z wysoka sypki śnieg na ich twarze.

– Muszę już iść. – Andzia otrzepała resztki białego puchu z kurtki.

– A krecia nora? Obiecałaś – przypomniał Jeremiasz.

– Przyjdź w niedzielę, to ją znajdziemy – powiedziała, zanim z żalem opuścili park.



*Właściwie mogłaby powierzyć Jeremiaszowi swoją tajemnicę. Powtórzyć słowa taty, które często do niej wracają. Ale jednak zna go trochę za mało. I nie jest pewna, czy by ją dobrze zrozumiał.*

*Gdyby nie ta ostatnia rozmowa, gdy tata był już w szpitalu i miał na sobie obcą pizzę, Andzi byłoby dzisiaj bardzo ciężko. Wystarczyło spojrzeć na mamę, która nie znała sekretu, żeby wiedzieć, jak mogło być źle.*

*Szkoda, że mama wciąż tak bardzo cierpi. Bo gdyby wiedziała...*





Mama siedziała z babcią przy kuchennym stole. Piły herbatę.

– Gdzie byłaś, Andziu? – zapytała, patrząc na córkę czujnym wzrokiem.

– W szkole.

– Lekcje dawno się skończyły. Dzwoniła twoja wychowawczyni.

Andzia zsunęła przemoczone buty i ruszyła z nimi na korytarz.

– Andziu, zapytałam cię o ważną rzecz. – Mama cierpliwie czekała na odpowiedź.

– Chodziłam po parku. Z Jeremiaszem.

– Tym drugorocznym?

– Tak.

Mama spojrzała na babcię takim wzrokiem, jakby Andzia zrobiła coś bardzo niewłaściwego.

– Lubię go, bo mi nie dokucza – dodała, choć mogła milczeć.

– Twoja pani jest zmartwiona. Mówi, że często spóźniasz się do szkoły.

– Tylko wtedy, gdy idę przez park – sprostowała Andzia.

– I nie zgłaszasz się na lekcjach.

– Nie lubię, jak na mnie patrzą.

– A ostatnio nie miałaś zadania domowego.

– Nie miałam.

– Zasmucasz mnie – powiedziała mama i Andzia poczuła mocny skurcz w gardle.

Jakby coś w nim chciało zapłakać, ale powstrzymało się w ostatniej chwili.

Babcia pochyliła głowę nad parującą filiżanką.

– A ty zasmucasz mnie – babcia spojrzała znacząco na zaskoczoną mamę.

Mama i Andzia jednocześnie zatopiły wzrok w starszej pani.

– Obu wam jest teraz trudno i źle. – Babcia delikatnie wygładziła fałdę wełnianej spódnicy. – I mnie też niełatwo, jak to matce... Musimy być dzielne i próbować żyć jak kiedyś...

– Ja się bardzo staram. – Mama spojrzała na Andzię. Jakby sama nie dowierzała swoim słowom.

– Ale i tak widać. Ten twój smutek – westchnęła Andzia. – Nawet jak się przykrywasz kocem w kratkę.

– Szczególnie wtedy – dodała babcia, a biała filiżanka lekko zatrzęsała się w jej dłoni.

– No tak. Jestem wszystkiemu winna – zabrzmiał rozedrgany głos mamy – że Andzia się spóźnia, że chodzi do szkoły bez śniadania i bez prac domowych. Że nie byliśmy już miesiąc na spacerze... – załkała, chowając głowę w ramionach.

Znowu wygląda jak mała dziewczynka – pomyślała Andzia.

Babcia musiała pomyśleć tak samo, bo pochyliła się nad mamą i mocno ją przytuliła.

– Żadna z was nie jest niczemu winna – wyszeptała, podając mamie chusteczkę. – Czasami są takie trudne dni.

*Tata, gdy tylko pojawiał się smutek, zawsze kupował ciasto. To był zwykle sernik z brzoskwiniami. A gdy Andzia z mamą parzyły herbatę, skubał ciasto, aby wyłowić kawałki owoców. Można było podczas takiej uczy smacznie zapomnieć o smutku.*

– Mamo, kupiłaś sernik? – zapytała Andzia.

Mama podniosła na nią zdziwione oczy.

– Sernik? – powtórzyła jak automat.

– Pójdę kupić. To niedaleko.

– Uważaj na samochody! – zawołała za nią mama, ale Andzia pędziła już do cukierni i głos mamy pozostał za szybko zamkniętymi drzwiami.

## rozdział 4

### *Miętowe pastylki na samotność*



– Szkoda, że nie przyjdiesz na moje urodziny. – Zosia patrzyła na Andzię ze współczuciem. – Masz żalobę, nie?

Andzia pochylała się nisko nad zeszytem, żeby nie widzieć Zosi.

– Jak chcesz, to możesz przyjść, ale wtedy nikt się nie będzie bawił. Bo

wiadomo...

– Nie chcę do ciebie przyjść. – Andzia na końcu zeszytu malowała motyla. – Mogę, ale nie chcę.

– Ojejku, słyszycie? – Zosia rozejrzała się po klasie. – Ona mówi, że nie chce do mnie przyjść! Na kulig! Kto by w to uwierzył!

– Każdy wierzy, w co chce! – odpowiedziała Andzia i domalowała motylowi wielkie rogi.

Na przerwie podszedł do niej Jeremiasz.

– O rany! – podrapał się za uchem – ale masz gadane! Najpierw z tą Zośką, tak jej powiedziałaś, że hej, a potem na lekcji... Mówiłaś jak jakaś prymuska...

– To było łatwe. Znam się na drzewach, bo tata mnie nauczył. – Andzia zamknęła czytaną książkę, a Jeremiasz wydobyl z kieszeni mentolowe dropsy.

– Częstuj się. W nagrodę – powiedział poważnie.

– Dlaczego jesteś drugoroczny? Nie lubisz się uczyć? – zapytała, udając, że nie dostrzega spojrzeń i szeptów koleżanek.

– Nie za bardzo. – Jeremiasz zapchał buzię kolejnym dropsem. – Ale powtarzam klasę, bo byłem w szpitalu. Pół roku mnie tam trzymali – skrzywił się.

– Fajnie, że już cię wypuścili – głos Andzi zabrzmiał zwyczajnie i szczerze.

A potem były jeszcze trzy przerwy i na każdej Andzia jadła miętowe pastylki.



Wracała ze szkoły sama. Jeremiasz dogonił ją za skrzyżowaniem.

– Zapomniałem ci powiedzieć, że jak chcesz, to możemy zrobić kulig – wysapał. – Ty będziesz siedziała na sankach, a ja będę arab.

– Kto? – zdumiała się Andzia.

– No, arab, to znaczy taki koń! Będę udawał konia, bo prawdziwy kulig zawsze jest z koniem – dokończył.

– Nie musisz być koniem – zaśmiała się Andzia. – Możemy razem zjeżdżać na sankach. Z tej parkowej góry.

– Super! – Jeremiasz klasnął radośnie w ręce. – To kiedy?

– Może w sobotę? – zamyśliła się. – Obiecałam babci, że trochę więcej się pouczę

– dodała wstydliwie.

– Dobra. To ja też się pouczę – przystał Jeremiasz.

Stanęli przed furką domu Andzi.

– Szkoda, że mieszkasz tak blisko szkoły – mruknął, przestępując z nogi na nogę. –

Byśmy sobie mogli jeszcze iść i opowiedziałbym ci o Tangu.

– O tańcu? – Jeremiasz zdumiewał ją coraz bardziej.

– Nie. O moim psie Tangu – powiedział z wielką powagą. – Dzisiaj Tango jest sam, więc muszę już iść.

– Poczekaj. – Andzia gorączkowo poszukiwała czegoś w plecaku. – Proszę – wyciągnęła w stronę Jeremiasza pięknie opakowany prezent.

– Ale co? – zdziwił się, patrząc to na Andzię, to na podarek. – To dla mnie?

– Tak. Miał być dla Zosi. Na jej urodziny, ale nie zasłużyła.

– Ja też nie...

– Weź, proszę! – Andzia zamachała prezentem, wciąż pozostającym w jej kolorowej rękawiczce.

– A co jest w środku? – Jeremiasz sięgnął po podarek i aż pokraśniał z radości.

– Zobaczysz w domu. Może ci się nie spodoba...

– Już mi się podoba! – zaprzeczył szybko. – Dziękuję – szepnął, a właściwie zapiszczał i oboje się roześmiali.



## rozdział 5

### *Cukier puder na księżycu*



Drzwi były zamknięte. Andzia długo mocowała się ze starym zamkiem. Wreszcie klamka łagodnie opadła i wpuściła ją do środka.

*Jak kiedyś. Kiedyś też bywało, że trafiała na zamknięte drzwi. Mama pracowała w domu. Robiła piękne ilustracje do dziecięcych książek. Ale dawniej często wychodziła do miasta i na pocztę.*

*Andzia lubiła powroty mamy. Zawsze tak ładnie wyglądała. Czasami bardzo elegancko, jak jakaś aktorka, która gra panią z banku. A innym razem, gdy zbierała włosy w rozczochraną kitkę, przypominała młodą dziewczynę. Taką, co chodzi na koncerty głośnych zespołów i je frytki palcami. Najbardziej zmieniały się po tych wyjściach oczy mamy. Jakby poza domem znajdowały dużo światła i kolorów. Szczególnie kolorów, bo mama świetnie znała się na barwach...*

W kuchni czekał na Andzię list.



Niedługo wrócę – napisała. – Obiad gotowy. Zjemy go razem. A jeśli moja córeczka jest głodna, na stole – mała niespodzianka.

Mama



Nawet gdyby Andzia nie była głodna, zjadłaby całą niespodziankę. Bo mama zrobiła te pyszne francuskie rożki z jabłkowym musem. Wyglądają identycznie jak tamte, dawne, o które kiedyś grali we troje w chińczyka. Kto wygrywał, dostawał o jednego rożka więcej. Mama uwielbiała zajmować ostatnie miejsce, bojąc się, że utyje. I ten głośny śmiech przy stole, gdy Andzia obrażała się na tatę, bo okropnie oszukiwał...

Obok rożków ręka mamy postawiła kubek z mlekiem. Mama doskonale wiedziała, że



bez mleka różki się nie liczą.

Andzia zmrużyła powieki i delikatnie skosztowała ciasta. Było takie, jak być powinno.

I choć przy stole panowała głucha cisza, nikt nie rzucał białą kostką i nikt nie maszerował pionkiem po kolorowej planszy, to w kuchni pojaśniało. Słońce lekko przebiło się przez makową zasłonkę. Zatrzymało na skraju talerzyka z różkami. I być może to ono zwabiło na parapetowy karmnik wyraźnie zgłodniałe towarzystwo sikorek. Zająły się ziarnami i słoniną, strzepując ze skrzydeł śnieżny puch.

Ale spojrzenie Andzi, podążające za słoneczną plamą, wybiegło poza karmnikowe waśnie i zatrzymało się na pniu starego dębu.

Wyteńczyła wzrok i zamarła. A w chwilę potem puściła się biegiem po lornetkę taty. Zajęła stanowisko obserwatora na wprost błyszczącego okna. I przez magiczne szkła lornetki spojrzała na tajemniczego przybysza.

To był on. Kowalik. Ulubiony ptak taty. I jej. Jedyne taki spryciarz, który potrafił maszerować po drzewie głową w dół.



*Pamiętasz, Andziu, naszego kowalika? – zapytał ją tata, gdy już czuł się bardzo źle i leżał wśród plastikowych rurek.*

*Potaknęła wtedy głową.*

*– Musisz wiedzieć, że nic złego mnie nie spotka. Ludzie codziennie odchodzą. Każdy w swoją stronę. Czasami daleko. To jest trudne, ale my przecież lubimy wycieczki w nieznane, prawda?*

*– Nie chcę, żebyś gdzieś odchodził – powiedziała. Nie wiadomo dlaczego bolały ją tego dnia oczy. I jak na złość łzawiły. – Wolę, żebyś zawsze był – dodała cichutko.*

*– Zawsze będę – zapewnił tata. – Nawet, gdybyś mnie nie widziała.*

*– To skąd mam wiedzieć, że jesteś?*

*– Zaraz ci to wyjaśnię – obiecał, ale przyszła pielęgniarka zmienić jakąś rurkę i Andzia musiała wyjść na korytarz. Tam jej się nie podobało, bo pod oknem stała zapłakana i milcząca mama. Szybko więc wróciła do taty.*

*– Miałeś mi powiedzieć – zaczęła, ale tata jej przerwał.*

*– Gdyby tak się zdarzyło, że będę niewidzialny, to wiesz, co zrobię?*

*Pokręciła głową.*

*– To, co robi kowalik. Zacznę patrzeć na świat z góry. Z góry wszystko wygląda inaczej. A jak ci wiadomo, kowalik potrafi po najbardziej wysokim drzewie zejść na ziemię. Zawsze mnie poznasz... Wiesz po czym?*

*– Po tej długiej czarnej brewce! – ożywiła się Andzia. Lubiała, gdy tata ją przepytывał, a ona znała wszystkie ptasie tajemnice. Czarny pasek kowalika, biegnący od oczu po jego karczek, nie był dla Andzi już żadną tajemnicą.*

*– Brawo! Pokaż mi palcem, gdzie się ta brewka zaczyna i gdzie kończy.*

*Andzia rozpoczęła podróż palcem po swojej buzi. Zaczęła od załzawionych oczu, aż doszła do szyi.*

*– Jestem z ciebie dumny. Będiesz kiedyś wielką znawczynią ptaków – uśmiechnął się tata. A potem weszła mama, całkiem inna niż przy oknie. Lśnił i wesoła. Był koniec czerwca. Na szpitalnym trawniku pyszniły się klomby z kwiatami. Te klomby Andzia szczególnie zapamiętała. Niedługo potem tak dużo kwiatów zobaczyła znowu. Na pogrzebie taty.*



Kowalik zdążył już opuścić pień dębu i przebierał krótkimi łapkami po zamrożonej ziemi.

– Mój mądrała! – ucieszyła się Andzia, podglądając ptasią ucztę. – Wie, że zawsze tam sypię ziarenka.

Na dźwięk otwieranych drzwi Andzia opuściła lornetkę. A gdy przywitała mamę i znowu podniosła lornetkę do oczu, kowalika już nie było.

Mama dzisiaj wyglądała w połowie jak pani z banku, a w połowie jak wesoła dziewczyna. Miała na sobie bluzkę z kokardką, marynarkę i mocno wytarte dżinsy. A do tego jeszcze bardzo wesołą apaszkę.

– Andziu – powiedziała mocnym głosem. – Dostałam pracę! Będę znowu ilustrować książki!

– Czy to znaczy, że na twoje biurko wróci wielki bałagan? – zapytała Andzia.

Mama milczała, ale jej oczy odpowiadały, że tak.

– I w każdym pokoju będą stały otwarte tubki z farbą?

Oczy mamy znowu przytaknęły.

– I ja pierwsza zobaczę te rysunki? Jak wtedy? – Andzia zrobiła ruch głową, który oznaczał przeszłość.

– Jak wtedy. – Mama też wykonała taki sam ruch.

Potem usiadły naprzeciw siebie. Opowiedziały, co się ważnego zdarzyło każdej z nich. A opowiadając, patrzyły łakomie na ostatniego rożka, który przysypany cukrem pudrem wyglądał jak księżyc skąpany w śniegu.

## rozdział 6

### *Przegapiony koniec świata*



Teraz w szkole jest całkiem inaczej niż pół roku temu.

*Wtedy czerwiec był ciepły i w parku rozbrzmiewała do późna ptasia muzyka.*

*Drzewa stroiły się na wyścigi w nowe zielone sukienki. Ale Andzia za nic nie wróciłaby do tamtego czasu. Cała klasa myślała już tylko o wakacjach. Nawet Kinga, która najbardziej lubiła się uczyć. W szkole było wesoło, a dziewczynki wyjęły z szaf letnie sukienki. Chodziły po korytarzu jak kolorowe kolibry, ale na widok Andzi zawsze poważniały.*

*– Dlaczego nie płaczesz? – pytały ją w kilka dni po pogrzebie.*

*– Ja bym płakała bez przerwy. – Zosia zamrugła, jednak z jej oczu nie wypłynęła ani jedna łza.*

*– A ja to bym chyba oszalała! – westchnęła Sandra i zrobiła strasznie smutną minę.*

*Andzia chciała im szczerze wyznać, jak jest źle, kiedy nie można płakać. Kiedy łzy rozlewają się w środku i zostają tam już na zawsze.*

*Albo, gdy szła ulicą...*

*Wydawało się jej, że wszyscy wiedzą, co spotkało tę dziewczynkę z czerwonymi kokardkami. Ludzie ją mijali i pewnie zastanawiali się, jak można po czymś takim iść zwyczajnie do szkoły. Jakby się nic nie stało. Andzia kopła wtedy wszystkie mijane kamienie. Z całych sił. Tak bardzo pragnęła, żeby uderzyć się mocno i wreszcie wypłakać. Ale nawet to nie pomagało.*

*Dopiero nocami. Nie pamiętała ich zbyt dobrze, ale mama często włączała światło i Andzia widziała nad sobą jej stroskaną twarz.*

*– Znowu to samo – mówiła zmartwiona, patrząc na mokrą poduszkę. A potem wsuwała się pod kołdrę Andzi i lekko kołysała córkę do snu.*



– Mamo, dlaczego nie było końca świata, kiedy tatuś umarł? – zapytała niedawno, zamykając komiks, w którym bohater ratował Ziemię przed zagładą.

– Był koniec świata, kochanie – odpowiedziała mama. – Ale poza nami nikt tego nie zauważył.





## rozdział 7

### *Dwie górki i wspólny pies*



Jeremiasz stał w progu i po swojemu przestępował z nogi na nogę.

– Eń dobry, czy jest Andzia? – ukłonił się niezgrabnie, gdy otworzyły się drzwi.

– Jest – uśmiechnęła się do niego mama Andzi. – A ty masz na imię Jeremiasz, prawda? – Drzwi otworzyły się jeszcze szerzej. – Wejdz, proszę.

– Dziękuję, ale nie mogę. – Jeremiasz lekko spurpurowiał. – Bo ja nie jestem sam. I chciałem zaprosić Andzię do Tanga... To znaczy na sanki...

– Do tanga czy na sanki? – Mama Andzi z trudem powstrzymała śmiech.

– Jedno i drugie, bo Tango to mój pies. I on jest tu ze mną. Czeka przed furtką. Chciałem, żeby poznał Andzię. – Jeremiasz nigdy nie powiedział tyłu słów naraz.

– Cześć! – Zza mamy wychyliła się znajoma czerwona czapka. – Już idę, jeszcze tylko buty!

– I sanki! – przypomniała mama. – Jeremiaszu, ja też chętnie poznam twojego psa – powiedziała pogodnie.

– Jasne! – ucieszył się Jeremiasz i pognał po przyjaciela.

Tango miał najśmieszniejszy ogon, jaki Andzia widziała. Przyszło jej do głowy jedynie to, że mógł go skraść szarej wiewiórcy. Był całkiem podobny do Bajo Bongo, kundelka, którego stworzyła kiedyś mama w jednej z książek dla dzieci. Niewielki, ale z taką ilością kudłów, że wyglądał jak ogromna zabrudzona śnieżka, którą ktoś napędce ulepił. Ale ten ktoś musiał dużo czasu poświęcić mordce, bo wystarczyło na nią spojrzeć, żeby pokochać całość.

Witał się tak serdecznie z mamą i Andzią, że obie natychmiast go polubiły.

– Wygląda jak mój Bajo Bongo – szepnęła zdumiona mama, zanurzając dłonie w psią sierść. – I też taki radosny! Jakby tańczył ze szczęścia...

– Dlatego ma na imię Tango! – Jeremiasz był niezwykle dumny ze swego czworonoga.

– Teraz będę o was spokojna. – Mama pomachała im. – Macie rzetelnego opiekuna!

Zjeżdżali z dwóchgórek. Najpierw z małej, z której sanki toczyły się bardzo wolno, ale podróż trwała niezwykle krótko. A potem z dużej. Sanki mknęły z niej szybko i można się było nawet trochę przestraszyć, zanim stanęły u stóp pomnika zamyślnego poety.

Tango z energią gonił uciekinierów i zawsze zostawał w tyle. Za to na szczyt dużej góry wdrapywał się pierwszy, co oznajmiał szalonym szczekaniem.

A gdy bardzo się zmęczeni jazdą w dół i wspinaczką w górę, usiedli na sankach i Andzia wyjęła z plecaka mały termos. Była w nim herbata. Bardzo ciepła, pachnąca wanilią. Rozlała napój do plastikowych kubeczków. Wolno, aby się nie oparzyć.



– Jak chodziliśmy z tatą na wyprawy, to zawsze z tym termosem – powiedziała. – Tata uważał, że herbata w lesie całkiem inaczej smakuje.

– Mhm – zgodził się Jeremiasz. – Pycha.

Pomilczał chwilę i nawet nieco się spieszył, zanim spojrział na Andzię spod daszka czapki.

– A ten prezent od ciebie to jest bardzo fajny. Nigdy nie miałem takiego ładnego zeszytu.

– To może być twój pamiętnik. – Andzia opuściła głowę. – Wiesz, taki notes, w którym dziewczynki zawsze piszą, co się wydarzyło.

– A chłopcy? – Jeremiasz był wyraźnie zmartwiony.

– Chyba też mogą pisać – zamyśliła się Andzia. – Mógłbyś sobie w nim notować ulubione samochody...

– Albo opisałbym, jak to było z Tangiem, kiedy go znalazłem...

– Znalazłeś?

– Tak. W piwnicach naszego bloku. Ktoś go przywiązał do starego fotela...

– To okropne!

– Pewnie! A ja się bawiłem w chowanego i przegrałem.

– Jak to przegrałeś?

– No, bo mnie od razu znaleźli, jak wyszedłem z Tangiem z tej piwnicy.

– Ale tak naprawdę to wygrałeś. – Andzia posmutniała. – Ja zawsze chciałam mieć psa.

– Jak chcesz, to Tango może być trochę twój – zaproponował Jeremiasz. – Już jest! Zobacz, jak się do ciebie klei – uśmiechnął się, widząc swojego pupila na kolanach Andzi. – A przed moją mamą to się tydzień ukrywaliśmy... – szepnął i zamilkł.

– Bawiłeś się z mamą w chowanego i wygrałeś? – zaśmiała się Andzia, uwalniając pieska z kolan.

– Tak jakby. Bo mama nie chciała słyszeć o Tangu. Powiedziałem jej, że bez Tanga nie wyzdrowieję, więc machnęła ręką.

– I to była prawda? – Andzia patrzyła na Jeremiasza z ogromną uwagą. Pomyślała, że może tata też by wyzdrowiał, gdyby bardzo mu zależało na psie...

– Jasne! Nie było dnia, żebym o nim nie myślał. Nawet lekarze mówili: „Staraj się, chłopie, bo twój piesek tęskni!”. To się starałem.

– Tata też się starał, ale nie wyszło – szepnęła.

– Czasami nie wychodzi – zgodził się Jeremiasz i zanurzył nos w kubku. – Ale pycha – ocenił szczerze. – Zwyczajna herbata, a taka dobra.

– Wcale nie zwyczajna – zaprzeczyła Andzia. – To leśna herbata i nazywa się Przysmak Kowalika.

– Nie znam żadnego Kowalika – zastanowił się Jeremiasz.

– To poznasz. Kiedyś ci go przedstawię.

Gdy wracali z parku, słońce przetaczało się różową łuną i zapadał zmrok. Tango tańczył swój szalony taniec, a sanki bezszelestnie sunęły po udeptanym śniegu.

– To dzisiaj w moim notesie napiszę o Tangu i o leśnej herbacie – powiedział na pożegnanie Jeremiasz.

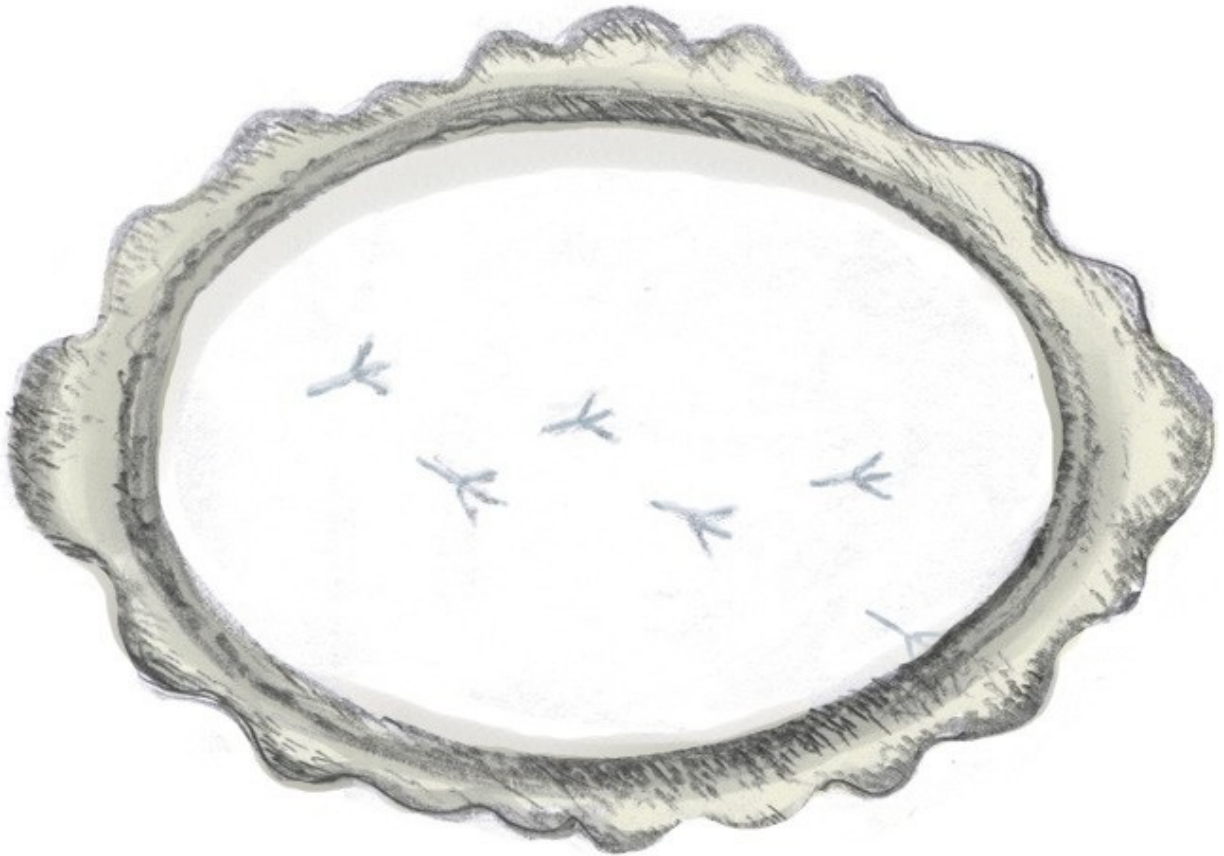
– A ja będę oglądać rysunki mamy. I znajdę książkę z portretem Bajo Bongo. On musiał być tatusiem Tanga – uśmiechnęła się Andzia.

Kiedy przecinała podwórko, ciągnąc za sobą sanki, było już całkiem ciemno.

Jeremiasz pomyślał, że gdy Andzia znikła w drzwiach swojego domu, to słońce robi dokładnie to samo i znikła razem z nią.

## rozdział 8

### *Kiedy nie ma chłopca w żółtej bluzie*



– Zima bierze nogi za pas – powiedziała mama, zdejmując do prania zasłonkę w maki.

Andzia podbiegła do okna. Ale zamiast wybiegającej z ogrodu zimy zobaczyła tylko roztopy i brudne kleksy śniegu.

– Nie martwisz się? – Mama miała minę łobuza. – Wkrótce trzeba będzie wynieść twoje sanki do piwnicy.

– Trudno – westchnęła Andzia nad wyraz radośnie.

– Oho! Pierwsza saneczkarka na osiedlu cieszy się z końca sezonu! – Mama spojrzała na Andzię z rozbawieniem. – Dobrze, że Jeremiasz tego nie słyszy. Byłoby mu przykro.

– Wcale nie! – zaprzeczyła Andzia. – On też już czeka na wiosnę. Będziemy obserwować ptaki i kreciki. Obiecałam, że razem znajdziemy kryjówkę jeża – głos Andzi aż drżał z emocji.

Mama pochyliła się nad parapetem i Andzia nie widziała, czy się cieszy z jej planów, czy nie.

Ale musiała się ucieszyć. Bo nagle przytuliła Andzię i powiedziała, że to świetny pomysł. I że nie zna nikogo miłszego do wspólnych wędrówek od Jeremiasza.

Bo Jeremiasz zawsze mamę rozśmieszał. Gdy przychodził do Andzi, żeby razem z nią oglądać w internecie przyrodnicze filmiki albo nowe modele sportowych samochodów, to potrafił powiedzieć coś tak zabawnego, że mama zaraz potem biegła do kuchni, aby znaleźć ciasteczka lub inne smakołyki i poczęstować nimi chłopca. Dopiero kiedy okazało się, że Jeremiasz wcale nie lubi słodczy, mama robiła specjalnie dla niego jakiś owocowy deser.

Ostatnio dostał od niej książkę z historyjkami o psie Bajo Bongo. I gdy tylko zobaczył okładkę, aż się zachłysnął z radości.

– To pani jest tatą mojego Tanga! – wykrzyknął, a mama w śmiech.

– Na tatę raczej nie wyglądam – powiedziała, kręcąc spódniczką.

– To nie szkodzi. – Jeremiasz był w siódmym niebie, że nareszcie jego pies ma jakiegoś rodzica.



Na pierwszej lekcji Andzia cały czas spoglądała w stronę klasowych drzwi. Ale Jeremiasz w nich nie stanął. I nie było go także na pozostałych lekcjach.

To dziwne – pomyślała. – Jeszcze niedawno nawet bym nie wiedziała, że jakiś chłopiec w żółtej bluzie nie przyszedł do szkoły. A teraz chyba tylko ja jedna o tym wiem.

Ale nie była to prawda. Na ostatniej przerwie podeszła do Andzi Sara.

– Twój narzeczony jest na wagarach? – zapytała, a inne dziewczynki, które to usłyszały, zaczęły się śmiać.

Andzia spojrzała na Sarę, ale zwyczajnie. Bez gniewu i bez złości.

– To mój kolega – odrzekła lekko. – Nie narzeczony.

I po tej odpowiedzi poczuła się doskonale. Zrozumiała, że właśnie przed chwilą zjawił się tu, na szkolnym korytarzu, tata. Wprawdzie nikt poza Andzią go nie zauważył, ale to nie szkodzi, bo on przyszedł tylko do niej.

Tata świetnie się znał na różnych sprawach. Wiedział, co trzeba powiedzieć i w jaki sposób. Wyjaśnił kiedyś Andzi, żeby nigdy nie walczyła z ludzkimi słowami, bo nie są tego warte. Nie są warte, aby z ich powodu rodzić nowe złe słowa. A teraz, gdy Sara chciała zrobić jej przykrość, tata wpadł do szkoły, by przypomnieć Andzi, jak się powinna zachować. I miał rację. Dziewczynki przestały chichotać, a Olga podeszła do niej, żeby obejrzeć pracę z plastyki. Nikt tak ładnie nie malował, jak Andzia.

– Ojejku! – wykrzyknęła Olga, gdy spojrzała na rysunek. – Mama ci pomagała?

– Nie! – zaśmiała się Andzia. – Mama powiedziała, że ja mam inną kreskę. Nawet nie wiem, co to znaczy – zmartwiła się trochę.

– Na pewno coś dobrego – pocieszyła ją Olga. – Twoje fiołki są jak prawdziwe.

Potem inne dziewczynki oglądały pracę Andzi i bardzo im się podobała. Może Sara także chciała ją zobaczyć, jednak nie podeszła.

A szkoda – myślała Andzia, wracając ze szkoły. – Gdyby podeszła, jeszcze raz otworzyłabym przed nią swój blok. Tak samo na pewno zrobiłby tata, gdyby pani kazała mu namalować dowolną techniką ulubione kwiaty.

Jeremiasza nie było ani następnego dnia, ani następnego. A w piątek wychowawczyni powiedziała całej klasie, że Jeremiasz zachorował i nie może chodzić do szkoły. Zapytała, kto jest jego najlepszym kolegą i kto mógłby nosić mu zeszyty.

– Ja! – wykrzyknęła Andzia i wszyscy głośno zaczęli się śmiać. Andzia też się śmiała ze wszystkimi, bo po raz pierwszy została czyimś kolegą.

Najbardziej ucieszyła się pani i poprosiła ją o rozmowę po lekcjach.

Gdy już wszyscy wyszli do szatni, pani popatrzyła na Andzię poważnymi oczami



i zapytała, czy Andzia potrafi dochować tajemnicy.



– Tak – przytaknęła, ale słowa pani bardzo ją zmartwiły. Tata też kiedyś ją o to poprosił. O dochowanie wspólnego sekretu, że można być po śmierci małym kowalikiem, jak się tego bardzo pragnie.

A teraz prosi ją o coś równie ważnego pani, ale na pewno także Jeremiasz. Są takie sekrety, które bardzo bolą i Andzia zdążyła się już o tym przekonać. Wprawdzie tata wspomniał, że komuś bardzo zaufanemu może wyjawić sekret.

Ale dotąd Andzia nikomu na tyle nie zaufała. Nawet mamie.

Pani miała smutną minę, gdy opowiadała o chorobie Jeremiasza. I o tym, jak musiał zmienić szkołę, bo ta poprzednia nie była przygotowana na jego cukrzycę.

Andzia nie za bardzo rozumiała, jak szkoła powinna się przygotować na cukrzycę, ale wstydziła się o to zapytać. Pani pewnie sądziła, że Andzia jest mądrzejsza, niż jest, a nie byłoby dobrze rozczarować panią.

Poza tym pani zdążyła już zamknąć ten temat i teraz prosiła Andzię, aby na razie nie mówiła nikomu w klasie o chorobie Jeremiasza. On sam tak postanowił.

– Potrzebuje więcej czasu, aby uwierzyć, że jesteśmy mu życzliwi – rozmyślała głośno pani, nie patrząc na Andzię.

– A czy jesteśmy? – zapytała Andzia, ściągając na siebie niespokojne spojrzenie pani.

Gdy dostała karteczkę z adresem Jeremiasza, poczuła się bardzo wyróżniona. Pamiętała, jak kiedyś mama odbierała nagrodę za swoje ilustracje. Wprawdzie mamy dyplom był duży i kolorowy, ale czasami nawet mała karteczka bywa wielką nagrodą.

Przed szkołą czekała na nią Olga, biegając dokoła wielkiego świerka.

Andzia zamachała jej kolorową rękawiczką i Olga nie dokończyła kółka. Była zarumieniona i uśmiechnięta. Obejrzały karteczkę z adresem i ruszyły przed siebie, nie omijając żadnej z napotkanych zasp, które powoli zmieniały się w bure kałuże.



## rozdział 9

### *Dlaczego dzięcioł opuszcza dziupłę*



– Taki daleki spacer dwa razy w tygodniu dobrze nam zrobi – powiedziała mama, gdy Andzia skończyła swą opowieść o pani i Jeremiaszu.

– Będiesz do niego chodziła ze mną? – Andzi ten pomysł wyraźnie nie przypadł do gustu.

– Niezupełnie. – Mama była poważna, choć w jej oczach zamigotały wesołe iskierki. – Będę tylko szła z tobą w tym samym kierunku.

– A co potem? Jak dojdziemy do bloku Jeremiasza?

– Ty go odwiedzisz, a ja załatwię różne ważne sprawy.

– A jeszcze potem? – W oczach Andzi też pojawiły się identyczne iskierki.

– A jeszcze potem tak się szczęśliwie złoży, że znowu będziemy maszerowały razem w tym samym kierunku. To znaczy w kierunku naszego domu.

Buziak wcale nie był zbyt hojną nagrodą dla mamy.

Nie tylko przełożyła swe obowiązki, by towarzyszyć Andzi, ale jeszcze wymyśliła idealny plan. Aby Andzia i Jeremiasz mieli trochę czasu dla siebie, mama za każdym razem kserowała notatki z zeszytów. Jeremiasz uzupełniał je, gdy już Andzi nie było, żalując za każdym razem, że prace domowe jego koleżanki jakoś się nie chciały skserować. Musiał odrabiać je sam.

A niedawno mama Jeremiasza zaprosiła mamę Andzi na herbatę i ciasto. Tak pyszny sernik przynosił z cukierni tylko tata. Andzia nie mogła się nadziwić, że ktoś jeszcze potrafi upiec coś równie smacznego.

– To specjalne ciasto dla mojego łasucha – śmiała się mama Jeremiasza.

– Jak to? – zdziwiła się Andzia. – Przecież Jeremiasz nie lubi słodczy!

– Uwielbia. Ale jego choroba też niestety je lubi. Dlatego mamy specjalne przepisy na łakocie.

Jeremiasz drapał się za uchem. Jak zawsze, gdy nie wiedział, co powiedzieć. I pewnie myślał, że Andzia posądzi go o kłamstwo. Ale wcale nie skłamał. On po prostu nie mógł lubić słodczy ze sklepu!

– Bo wiesz – powiedział potem, gdy przeglądali katalog samochodów – ja nie mogę jeść słodczy ze sklepu.

– Pewnie, że wiem – uśmiechnęła się, głaszcząc szare futerko Tanga.



Olga zapytała Andzię, czy mogą czasami razem się bawić.

– No pewnie! – odpowiedziała na długiej przerwie, gdy biegały wokół największego świerka.

Na tym lekko próchniejącym drzewie była stara dziupla i Andzia pokazała ją Oldze.

– Chyba bałabym się tam zajrzeć – szepnęła Olga.

– Kiedyś to było mieszkanie pana w żółtej czapce. – Andzia zadarła głowę z nadzieją, że znowu zobaczy właściciela dziupli – ale on już dawno się wyprowadził.

– Jak to pana w czapce? Prawdziwego?

– Prawdziwy pan dzięcioł – zaśmiała się Andzia. – Tata mi go kiedyś pokazał.

– Dzięcioły mają czapki? – Olga też zadarła głowę.

– Ten ma. I tylko trzy paluszki! Szkoda, że już tu nie mieszka.



– Ciągle myślę o tym dzięciole – powiedziała Olga, gdy stanęły przed domem Andzi. – Dlaczego porzucił swoją dziuplę?

– Może miał dużo dzieci i znalazł sobie większą? Albo na starszym drzewie? Bo te ptaki lubią tylko okropnie stare drzewa.





– Mój tata wcale nie ma dużo dzieci i też się wyprowadził – powiedziała Olga, wkładając palce pomiędzy oczka siatki. – To chyba nie chodzi o dzieci...

– Mój tata też... – rozpoczęła Andzia.

– Ale twój umarł, to się nie liczy – przerwała jej Olga, zanim uwolniła rękę zaplątaną w druciane ogrodzenie.

Tego dnia Andzia była markotna i szybciej poszła spać. Zaniepokojona mama zmierzyła jej temperaturę, ale termometr niczego nie wyjaśnił.

Leżała w łóżku z otwartymi oczami i zastanawiała się, jak to właściwie jest, gdy ktoś odchodzi.

*Ludzie robią to pewnie tak samo jak ptaki. Albo dziupla im się nie podoba, albo chcą zmienić park. A czasami wracają do tej samej dziupli, bo się okazuje, że lepszej nie ma. Jeśli tata Olgi jest choć trochę dzięciołem w żółtej czapce, to na pewno kiedyś sprowadzi się z powrotem.*

Ta myśl niosła ze sobą spokój. Inna nie.

*Tylko dlaczego, gdy zabrakło mi taty, Olga wcale do mnie nie podchodziła? I patrzyła na mnie z taką litością? Przecież wiedziała, jak to jest, gdy ptak opuszcza swoją dziuplę.*

A potem nad głową Andzi zawirowała cała rodzina dzięciołów. Bardzo elegancki pan w żółtej czapeczce ukrył swą białą grzbietową plamę pod żółtą bluzą. I gdyby nie trzy palce, sterczące z rękawa, Andzia byłaby przekonana, że to Jeremiasz z wielkimi skrzydłami krąży nad szkolnym świerkiem.

## rozdział 10

### *Wołanie*



Dzień od samego początku zapowiadał się znakomicie. Najpierw Andzia odkryła, że park od rana stoi w słońcu i jest pełen niespodzianek. Było więc niemal pewne, że to może zdarzyć się dzisiaj.

W szkole pani pochwaliła Jeremiasza, bo nadrobił wszystkie zaległości. Andzia dostała piątkę z wypracowania o wiośnie. Tylko lekcje wciąż trwały i trwały. Nawet w głowie Andzi zakiełkował taki pomysł, żeby je sobie trochę skrócić, ale cierpliwie wytrzymała do dzwonka.

Potem także musiała ćwiczyć cierpliwość, a wszystko przez tę pompę z insuliną, którą Jeremiasz dostał w prezencie od Jurka Owsiaaka.

Gdy została zainstalowana na dobre, Andzia pierwsza musiała zobaczyć, jak jest przymocowana. Trochę się bała tego widoku, ale niepotrzebnie. Pompa wcale nie była podobna do tej z podwórka Andzi. Wyglądała raczej jak pilot do drzwi sportowego samochodu.

– Naprawdę znasz Jurka Owsiaaka? – Andzia, jak cała Polska, była ze świątecznym dyrygentem na ty.

– Tylko z telewizji, ale jeśli grasz w jego orkiestrze, to też mi tę pompkę kupiłaś – odpowiedział. Nazwali ją Antośka, a Jeremiasz obiecał, że nie będzie przy niej grzebał.

I teraz, z powodu Antośki, trzeba było iść bardzo wolno przez wysychające kałuże. Tak ostrożnie, jakby się niosło niewidoczny skarb.

Plecak z lornetką i kanapkami, który podskakiwał na plecach Andzi, żadnym skarbem nie był. Chętnie zdjęłaby już z ramion ten ciężar i postawiła na parkowej ławce.

– Czy jak poznam twoją tajemnicę, to będę mógł o niej napisać w moim notesie? – zapytał Jeremiasz, patrząc na koleżankę z wielką powagą.

– Myślę, że tak – odrzekła po krótkim namyśle. – Ja o Antośce też napisałam w pamiętniku.

– Napisałaś, że jest odlotowa i mnie dokarmia? – chciał wiedzieć.

– Jasne!

Pora na wyprawę była znakomita. W parku panowała dostojna cisza. Przerzywał ją tylko ptasi świergot i muzyka drżących liści.

Andzia delikatnie wyjęła lornetkę i rozejrzała się wokół. Była tak zajęta nasłuchiowaniem, że Jeremiasz trochę się nudził. Ale na wszelki wypadek też zaczął się rozglądać i nasłuchiwać.



– Mam poznać pana Kowalskiego? – zapytał szeptem. Trochę bał się tej nowej, parkowej Andzi, która całkiem o nim zapomniała.

– Pana Kowalika! – odszepnęła Andzia i nasłuchiwała dalej.

– Nic nie rozumiem. – Jeremiasz pokręcił bezradnie głową. Wyglądał, jakby pisał sprawdzian z matematyki.

– Pan Kowalik jest ptakiem. Pamiętasz? Pokazywałam ci na zdjęciach.

– Nie pamiętam. – Jeremiasz wydawał się przygnębiony. – Pokazałaś mi za dużo tych ptaków i teraz żadnego nie pamiętam.

Nagle twarz Andzi całkiem się zmieniła. Spojrzała na Jeremiasza z jakąś dziwną radością i położyła palec na ustach.

Zamilkł, choć tak bardzo chciał ją właśnie teraz zapytać, dlaczego pan Kowalik ma być ważniejszy od pana Kruka albo pani Sikorki. Ale Andzia miała taką minę, że należało wstrzymać oddech i czekać.

– To on! – powiedziała ze wzruszeniem. – Jest tam! – wyciągnęła palec w kierunku kępy dużych drzew. – Jest tam i nas woła!

– Woła? – Jeremiasz wsadził palec do ucha i mocno nim pokręcił. – Nic nie słyszę! – westchnął.

– Bo nie słuchasz! – skarciła go Andzia i natychmiast tego pożałowała. Jeremiasz siedział ze spuszczoną głową, zmartwiony, że nie potrafi sprostać zadaniu.

– Mój tata powiedział w szpitalu – zaczęła cicho – że jak nadejdzie wiosna, a ja za nim zatęsknię, to wystarczy, abym znalazła kowalika...

– I co się wtedy stanie?

– Wtedy spotkam się z tatą. – Andzia zamilkła, bo nagle zrozumiała, że pewnych rzeczy nie można wytłumaczyć słowami. – Ten pan Kowalik – rozpoczęła półgłosem – to mały, ale dzielny ptaszek. Bardzo rodzinny. No wiesz, kocha panią Kowalikową i swoje dzieci. Najpierw znajduje dom, a potem zaprasza do niego żonę takim bardzo głośnym wołaniem. Potem rodzą się im dzieci albo nawet jedno dziecko – dodała skrupulatnie.

– A inne ptaki? – Jeremiasz polubił tę opowieść. – Też wołają?

– Większość pięknie śpiewa, wydaje z siebie takie głębokie trele. Jak orkiestra. Na przykład kos. On tak się zachowuje, jakby śpiewem chciał zdobyć wszystkie panny

kosówny. A kowalik woła... Ciii, ci ci, ci ci ciii – zabrzmiał cichutko głos Andzi.

– Teraz rozumiem. – Jeremiasz pogrzebał na wszelki wypadek w drugim uchu i z wielką powagą pokiwał głową.

– Czasami bardzo tęsknię za moim tatą. – Andzia spojrzała w korony drzew – i wtedy tu przychodzę. Ale dzisiaj kowalik mnie zawołał po raz pierwszy od pogrzebu.

Andzia opuściła głowę, a Jeremiasz zamilkł, bo wiedział, że czasami coś małego i kłującego może wpaść do oczu. Wtedy lepiej je zamknąć na chwilę, żeby to coś wyleciało ze łzami.

Gdy przeszli parę kroków, wokół ich głów zabrzmiało donośne ci cici cici, a po bukowym pniu przemaszerował sprawca tego zamieszania. Głową w dół i niemal pod nogi Andzi.

Odjęła od twarzy lornetkę i podała Jeremiaszowi.

– Zobacz – szepnęła.

– A ty? – zawahał się chłopiec w żółtej bluzie.

– Ja nie muszę, bo dobrze go znam. Wystarczy, że znowu słyszę, jak mnie woła – powiedziała z wielką powagą.

A gdy kowalikowe wołanie przeniosło się na drugą stronę parku, jedli kanapki pod namiotem ze świerkowych gałęzi.

– Tylko co będzie potem? – zapytał zniecierpliwiony Jeremiasz.

– Kiedy potem?

– No, jak się zrobi zimno...

– Kowalik milknie już w czerwcu – uśmiechnęła się ze smutkiem Andzia. – Mój tata też wtedy odszedł... Ale znowu nadchodzi wiosna. A jak człowiek żyje od wiosny do wiosny, to chyba jest szczęśliwszy...

– Ja bym wolał od wakacji do wakacji – szczerze wyznał Jeremiasz, ale nagle zmienił zdanie. – O kurczę, ale ze mnie głupek! Bez twojej wiosny wcale by nie było moich wakacji! – dodał odkrywczco i zabrał się do kanapki zrobionej specjalnie z myślą o nim.

## rozdział 11

*Dzień, w którym powracają kolory*



Pierwszy dzień kwietnia był krótki i radosny jak dobry żart. W szkole wszyscy się oszukiwali, a potem wybuchali śmiechem. Najbardziej oburzyła się pani od wuefu, ta, która bardzo się stroi i jest zarozumiała. A w dodatku zawsze na lekcjach piłuje paznokcie.

Na drzwiach sali gimnastycznej ktoś wywiesił wielką kartkę „gabinet masażu i odnowy spa”. Wybuchła awantura na całą szkołę, ale sprawcy nie ujęto, bo każdemu się dowcip podobał. Nawet dyrektorowi.

Wychowawczynie postanowiła uczcić ten dzień konkursem i podzieliła klasę na dwie grupy: grupę Andzi i grupę Zosi. Andzia była zdumiona, że wszyscy chcieli być w jej grupie. No, może poza kilkoma dziewczynkami. I nawet zwycięstwo w tej zabawie nie ucieszyło jej tak bardzo, jak tyle miłych słów, które usłyszała.

Musi o tym koniecznie napisać w pamiętniku. I przyzna się w nim do tego, że dotąd wcale nie знаła tak dobrze swojej klasy.

Wracała ze szkoły z Olgą, Agatą i Jeremiaszem. A gdy wszyscy zatrzymali się przy furtce jej domu, Andzia zamarła z przerażenia.

Na podwórku stało auto taty. Miało szeroko otwarte wszystkie drzwi, a mama kręciła się przy nim z różnymi szczotkami.

– Ale fura! – zagwizdał z zachwytem Jeremiasz.

– My też mamy samochód, tylko czerwony – rzeczowo odezwała się Agata.

– A moja mama robi prawo jazdy – dodała Olga z dumą.

– Cześć, Andziu! – Mama zamachała w jej stronę kolorową szmatką. – Dobrze, że jesteś. Potrzebuję pomocnika.

– Czy ja też mogę? – Jeremiasz przestępował z nogi na nogę.

– Jasne! – roześmiała się mama. – Zapraszam całą czwórkę! Kto chce, może sprzątać, reszta patrzeć, a gdy skończymy, będzie mleko i sernik z brzoskwiniami!

Wszyscy radośnie krzatali się wokół auta. Tylko Andzia straciła humor i wcale nie cieszyła ją zabawa w myjnię.

– To już czas, mamó? Musimy go sprzedać? – Andzia pocierała ściereczką błyszczącą karoserię.

– Chodź tu do mnie, smutasio.



Usiadły na siedzeniach auta, jak kiedyś.

– Nie sprzedajemy naszego samochodu – oświadczyła mama. – Zostaje z nami. I wspomnienia... One też zostają.

Andzia przytuliła się mocno do maminej kamizelki. Tak mocno, że poczuła zapach gumowych rękawic na jej rękach.

– Kiedyś mówiłaś, że wspomnienia bolą.

– Bo to prawda – zamyśliła się mama. – Ale nie powiedziałam ci najważniejszego. One także cieszą. Przypominają nam, kim jesteśmy i co się zdarzyło w naszym życiu.

– Czyli wszystkie wspomnienia są potrzebne? Nawet te, które bolą? – Andzia spojrzała mamie w oczy. Miały więcej światła i więcej kolorów niż przez całe ostatnie pół roku.

– Te są najważniejsze, bo po nich zostaje się takim małym bohaterem, który sobie poradził z kłopotami.

– Jak na przykład Jeremiasz?

– Jak Jeremiasz albo ty – poważnie odpowiedziała mama. Na krótką chwilę uśmiech opuścił jej twarz, ale oczy pozostały takie same. Pełne światła i kolorów.





## *Chłopiec w żółtej bluzie*



Mam na imię Jeremiasz, a ten notes dostałem od Andzi, która jest moją kumpelką.

Nigdy nie miałem prawdziwego notesu, takiego jak mój tata. Tata jeździ dużą ciężarówką i jest bez przerwy w trasie, bo musi zarabiać na moje leki.

Mama nie pracuje, tylko zajmuje się mną i dlatego jest zawsze bardzo zmęczona. Jak na nią patrzę, to myślę, że nie warto mieć dzieci, bo cały czas trzeba na nie uważać.

Moim przyjacielem jest pies Tango, którego bardzo kocham. Ktoś go przywiązał do fotela w piwnicy i Tango był okropnie wychudzony, jak go znalazłem. Obiecałem, że wszystko będzie w porządku i on mi uwierzył. Piszę o tym, bo to pierwsza istota, która mi całkiem uwierzyła. Mama zawsze myśli, że trochę kombinuję, a szczególnie ze słodyczami, których nie mogę jeść jak inne dzieci. Tata też mi nie wierzy, szczególnie, gdy rozmawiamy o szkole. A Tango tylko na mnie spojrzał i zrozumiał, że taki chłopak jak ja nie może go oszukać.

W notesie będę pisał o tym, co już było i co się teraz dzieje. Andzia powiedziała, że to wcale nie musi być po kolei, ale najlepiej pisać prawdę.

Już się trochę zmęczyłem, więc jutro napiszę prawdę o mojej starej szkole.



W tamtej szkole dzieci się ze mnie śmiały. Kiedy powiedziałem, że mam cukrzycę, to na przerwach chciały mnie lizać, żeby sprawdzić, czy jestem słodki.

A jak się ważyliśmy u pani higienistki, to byłem najgrubszy. I od tego czasu nie miałem spokoju. Jak się czułem źle, to mama przychodziła do szkoły. Jak tylko przysła, to pół klasy się śmiało, że jestem maminsynek i ciepła klucha. Kiedyś się nie przyznałem, że jest mi słabo i zemdlałem. Narobiłem mamie kłopotów, bo pani wychowawczynie powiedziała, że się boi takiego dziecka w klasie.

Moja mama powiedziała na to, że się boi takiej pani i już nie musiałem wracać do tej samej szkoły.

W szpitalu nie było wcale źle. Tam miałem najlepszych kolegów, ale szybko się zmieniali. Tylko szkoda, że Tango nie mógł mnie odwiedzać. Widziałem go kilka razy z okna, ale potem zawsze miałem temperaturę i mama już go nie przyprawiała.

Uważam, że na dzisiaj wystarczy, gdyż boli mnie prawa ręka od pisania.



Gdyby nie dziewczyny, to nowa klasa byłaby w porządku. Z dziewczyn to ja na razie lubię tylko Andzię. Ona jest często bardzo smutna. Wiem, bo siedzi pod oknem i chociaż wcale się na nią nie patrzę, to i tak zawsze ją widzę.

Jak chodzimy razem do parku, to jej koleżanki bez przerwy szepczą i się śmieją. Czasami jest mi głupio, że przeze mnie. Ale jednak myślę, że one są takie same przez siebie.

Kiedy Andzia zabiera mnie na wyprawę, to czasami chciałbym jej powiedzieć, żeby się tak nie przejmowała. Ale nie wiem, co się mówi, jak komuś umiera tata, więc nic nie mówię.

Tak sobie myślę, że jak już będę duży i kupię sobie ten sportowy wóz, to podjadę pod szkołę i powiem: „Cześć, Andzia! Wskakuj! Wskoczmy na przejażdżkę”. A dziewczyny z naszej klasy zrobią wielkie oczy.

Tylko na razie te bryczki są bardzo drogie i musimy chodzić na spacerzy pieszo.



Wczoraj wreszcie zobaczyłem norę kreta. Była zasypana śniegiem, ale prawdziwa. Niestety, kreta nie spotkaliśmy, czego żałuję, bo Andzia mówi, że to poczciwe zwierzątko. Powiedziała „poczciwe”, więc pomyślałem, że takie poczciwe krety siedzą sobie pod ziemią w swoim salonie i oglądają w telewizji filmy, które się dobrze kończą. Jednak Andzia uważa, że to niemożliwe, bo one są ślepe.

Jak nie będę się leczył, też mogę kiedyś być ślepy. Przeczytałem w takiej książce mamy o zdrowiu. Szkoda, że krety się nie leczą. Andzia mówi, że ludzie są na nie wściekli przez te kopce i wcale nie wiedzą, że wrogiem ich ogrodów jest karczownik, a nie kret. Ona czasami za dużo wie i to mnie wcale nie cieszy. Teraz muszę coś o tym karczowniku przeczytać, bo jak mi o nim opowiadała, to chyba miałem głupią minę.

Na razie nie będę chodzić na sanki i do szkoły, bo znowu zachorowałem. Tango jest

smutny, ale i tak macha ogonem. Prawdziwy przyjaciel zawsze wie, jak się zachować. Pewnie wieczorem przyjdzie do mnie Mateusz z drugiej klatki i zrobimy sobie rajd metalowych samochodzików.



Ciekawe, czy Andzia sama chodzi do parku. Mogłaby na mnie trochę poczekać, bo musimy jeszcze znaleźć kryjówkę jeża.

Fajnie by było, gdyby tu przyszła. Nawet bym wyszorował w ciepłej wodzie moje samochodziki i moglibyśmy zrobić taki rajd.



Moja mama powiedziała, że Andzia jest bardzo miła i ładna.

Jak patrzę na mamę, to też mi się wydaje bardzo miła i ładna, a wcale nie jest podobna do Andzi.



Tata wrócił z podróży z bardzo fajnym prezentem. Dostałem grę komputerową i teraz mogę udawać rajdowego kierowcę. Tata mówi, że wszyscy rajdowi kierowcy znają język angielski. Ale ja chciałbym zostać polskim kierowcą, więc może nie będę musiał się uczyć innego języka?

Andzia przynosi mi lekcje. Dlatego teraz mniej piszę w moim notesie, bo muszę je odrabiać.



Dzisiaj były moje urodziny i mama upiekła ciasto dla Andzi i jej mamy. Ale nie chciałem, żeby powiedziała, z jakiej okazji upiekła to ciasto. Ja już dostałem prezent od Andzi, a gdyby się dowiedziała o tych urodzinach, to by się tylko niepotrzebnie przejmowała.

Już niedługo będzie wiosna i Andzia powie mi jakąś tajemnicę. To jest chyba coś smutnego. Tak myślę, bo ona się tym sekretem strasznie przejmuje. Ja też mam swój sekret, ale na razie nic Andzi nie powiem. Mój sekret jest taki, że czasami nagle zasłabnę i wtedy się czuję jak jakaś baba.

A w ogóle to jeszcze nie napisałem, że Andzia potrafi narysować wszystko tak, jak by to nie był wcale rysunek. Chciałbym, żeby kiedyś mnie narysowała. Najlepiej w moim samochodzie i w kasku. Albo bez kasku, bo mama mówi, że mam ładne włosy.



Lubię doktora Gruszkę. Powiedział, że mogę już chodzić do szkoły. Mówimy o nim „Gruszka”, bo ma taki duży brzuch.

Dostałem pompę insulinową. Nawet nie wiem, czy dobrze napisałem to słowo, bo to okropnie trudna nazwa. Pokazałem pompę Andzi, a ona na początku tak się przestraszyła, że szok! Ale wcale nie jest taka bojaźliwa jak inne dziewczyny, bo ją obejrzała i powiedziała, że nawet fajna.

Nazwaliśmy ją „Słodka Antośka”, ale potem skróciliśmy do „Antośka” żeby się lepiej mówiło.

Napiszę w moim notesie o sekrecie Andzi, który wczoraj poznałem. Jej tata powiedział, że nawet jak umrze, to wcale nie tak całkiem. I kiedy Andzia zobaczy takiego kowalika, co ma długą czarną kreskę na łebku, to ma się już niczym nie przejmować. I że ten kowalik zawsze ją zawoła.



Kurczę, ja w to wcale nie wierzyłem, ale jak poszliśmy do parku, to ją naprawdę zawołał! I wszystko się zgadzało. Chodził głową do ziemi po drzewie i od razu Andzię w tym parku zauważył.

Bardzo się cieszę, że Andzia ma swojego kowalika. Na pewno by wolała dawnego tatę, ale wiadomo...

Muszę zbudować karmnik i postawić na balkonie. Gdyby jej tata czasami potrzebował coś podjąć, to zawsze mógłby tu wpaść.



Moja mama szyje dla Andzi taki fajny woreczek na kanapki. Żeby miała w co je włożyć, jak będziemy wędrować po parku. Sam to wymyśliłem, że przydałby się taki woreczek z jej imieniem. Ten prezent dam jej dopiero przed wakacjami.

Szkoda, że Andzia nie mieszka na naszym osiedlu. Mogłaby częściej bawić się z Tangiem. Bo ja bym nikomu nie pożyczył mojego psa, tylko jej.

Może dlatego, że Andzia tak jak Tango wie, jak trzeba się zachować, żeby komuś drugiemu nie było przykro? Pewnie właśnie dlatego.

Aha, i zaliczyłem w szkole wszystkie nieobecności, a pan od muzyki powiedział, że powinienem śpiewać w chórze. Teraz Andzia się śmieje, że będę panem Kosem, takim parkowym śpiewakiem od treli. A co tam, niech się śmieje. Na nią nie można się gniewać!...

Redaktor prowadząca: Natalia Sikora  
Redakcja: Lidia Kowalczyk  
Korekta: Elżbieta Jaroszuk, Agnieszka Radtke-Turska  
Redakcja techniczna: Alek Radomski

Projekt graficzny okładki oraz wszystkie ilustracje: Emilia Dziubak

Skład i łamanie: manufaktura

Wydawnictwo W.A.B. Sp. z o.o.  
ul. Foksal 17, 00-372 Warszawa  
tel: 022 646 05 10/11, 022 646 01 74/75  
[wab@wab.com.pl](mailto:wab@wab.com.pl)  
[www.wab.com.pl](http://www.wab.com.pl)

ISBN 978-83-7881-004-9

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Wydawnictwo W.A.B.](#)  
i Magdalena Wojtas / [Virtualo Sp. z o.o.](#)

**VIRTUALO**  
Digital platform of tomorrow





## Barbara Kosmowska

Poetka, pisarka, literaturoznawca. Autorka rozchwytywanego cyklu o Buble (nagroda główna w konkursie „Uwierz w siłę wyobraźni”), *Myślinków* (2005), dwukrotnie nagradzanej *Pozłacanej rybki* (2007), popularnej *Puszki* (2009) i *Samotnych.pl* (W.A.B. 2011). Opublikowała również książki dla dorosłych: *Głodna kotka* (2000), *Teren prywatny* (2002), *Niebieski autobus* (2004, W.A.B. 2011), *Hermańce* (W.A.B. 2008). Mieszka w Bytowie.